

MATEUSZ WYRWICH



WOJNA, WOJNA, WOJNA!

FRAGMENTY

POKOLENIE
Solidarność



**WOJNA, WOJNA,
WOJNA!**

POKOLENIE
Solidarności

MATEUSZ WYRWICH

WOJNA, WOJNA, WOJNA!

FRAGMENTY

INSTYTUT
LITERATURY 

FUNDACJA
CENTRUM
DOKUMENTACJI
CZYNI
NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO 

KRAKÓW 2022

© Copyright by Mateusz Wyrwich, 2022

Opracowanie redakcyjne:
Anna Samek, Adam Roliński

Projekt okładki:
Lesław Sławiński

Fotografie:
Mateusz Wyrwich, „Tygodnik Solidarność”

ISBN 978-83-67170-54-3 (druk)
ISBN 978-83-8138-683-8 (druk)
ISBN 978-83-8138-684-5 (PDF)
<https://doi.org/10.12797/9788381386845>

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu Instytutu Literatury
w ramach „Tarczy dla literatów”.



WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
<https://akademicka.pl>

Pokolenie „Solidarności”

Polska historia ostatnich stu lat została naznaczona ogromnym wysiłkiem pokoleń – najpierw tego, które wywalczyło dla kraju niepodległość, składając ogromną daninę krwi. Generacja urodzona w Drugiej Rzeczypospolitej zaznała szczęścia wolności i wielkiej goryczy klęski, tym dotkliwszej, że poświęcenie milionów hitlerowskich i sowieckich ofiar nie zaowocowało upragnioną wolnością.

Na tym tle pokolenie „Solidarności” wydaje się szczególnie uprzywielejonane, skoro tym razem wysiłek odzyskania suwerenności nie pociągnął za sobą aż tak wielu istnień, a cierpienia były relatywnie mniejsze. Ofiar śmiertelnych było niewiele w porównaniu z okresem stalinizmu. Tysiące więzionych, wyrzuconych z pracy lub relegowanych z uczelni, milion osób zmuszonych do emigracji albo pozbawionych środków do życia – to ofiary poddane wybiórczej represji komunistycznej przemocy lat osiemdziesiątych. Pozostała ogromna część społeczeństwa – zepchniętego do poziomu ubóstwa, pozbawionego praw pracowniczych, gospodarczych i elementarnej wolności, a także możliwości rozwoju czy dostępu do niekomunistycznej kultury – to rzesza osób pokrzywdzonych przez system, w który było wpisane zbiorowe pozbawianie obywateli podstawowych praw człowieka.

Przemoc militarno-policyjna, powszechna bieda i upośledzenie cywilizacyjne, a także zwyczajne upodlenie beczelnym kłamstwem w życiu publicznym spotkały się z szerokim oporem społecznym. Ten świat powinien zostać przedstawiony w całej swojej grozie, ale też głupocie i śmieszności – totalitaryzm był straszny, ale jednocześnie w wielu przejawach groteskowy i pokraczny. Z oczywistych powodów demograficznych wśród członków „Solidarności” dominowali ludzie urodzeni w pierwszym dziesięcioleciu tzw. Polski Ludowej, choć liderów i szeregowych działaczy nie brakowało również wśród starszych Polaków. Dlatego przywołując doświadczenia, przeżycia i osobliwości tamtych czasów, sięgamy do pamięci i opowieści wszystkich uczestników ówczesnej walki o wolność.

Pamięć musi się karmić konkretem, a nie abstrakcją historycznych procesów, i przywoływać realia, które odeszły wraz z sowiecką cywilizacją, a dzisiaj niejednokrotnie wymagają objaśnień. Nie żyjemy już w komunizmie i trudno nam sobie obecnie wyobrazić zwyczajne, codzienne dolegliwości albo przemoc fizyczną totalitarnego systemu. Ogromna większość Polaków osobiście nie doświadczyła życia, w którym problemem jest nabycie podstawowych produktów żywnościowych lub ubrania (kartki na cukier, mięso czy buty) i trzeba się wykazać sprytem, żeby zdobyć papier toaletowy, mydło lub podpaski. Tak jak niewyobrażalne jest dzisiaj to, że można było zostać niewinną ofiarą pobicia przez milicję, która w praktyce miała prawo do niczym nieskrępowanej agresji bez oglądania się na nietykalność cielesną obywatela.

Opowieść o tych czasach i ludziach musi być konkretna, w miarę różnorodna, uwzględniać region i miejsce zamieszkania, płeć, wiek, wykształcenie, środowisko zawodowe, a także kulturowe i etniczne zaplecze. Dlatego interesują nas osobiste opowiadania, pamiętki i artefakty, zdjęcia i w ogóle wszystko, co jest związane z historiami indywidualnymi, a nie tylko z dziejami zbiorowymi. Stworzenie wielkiego grupowego portretu pokolenia „Solidarności” jest ciągle możliwe, choć najstarsi uczestnicy już nie żyją. Ale nawet po nich zachowały się nagrane lub zapisane wypowiedzi, zdjęcia, dzienniki, pamiętniki lub listy z więzienia, do których chcemy dotrzeć. Są to nie tylko dokumenty epoki, które mogą zainteresować historyków czy socjologów, lecz również – literatura faktu mająca powodzenie u zwykłych Czytelników. Interesujące są także wspomnienia bliskich, zwłaszcza dzieci. Choć same nie brały udziału w wydarzeniach politycznych, to przecież świat dorosłych zapisał się w ich pamięci, czasami – niestety – tragicznie.

Takie są założenia i cele serii *Pokolenie „Solidarności”*. Liczymy na udział świadków i uczestników, których zapraszamy do współpracy.

Józef Maria Ruszar

Od redakcji

Seria *Pokolenie „Solidarności”* powstała w celu przedstawienia Czytelnikom relacji uczestników wydarzeń związanych z dziejami opozycji antykomunistycznej w PRL, szczególnie związku zawodowego NSZZ „Solidarność”, który władza totalitarnego państwa próbowała zniszczyć, wprowadzając 13 grudnia 1981 roku stan wojenny. Autorzy, świadkowie dziejów pierwszych lat „Solidarności” i stanu wojennego, swoje przeżycia spisali w różnych formach literackich: listach, wspomnieniach, poematach, pamiętnikach, dramatach. Edycja tych tekstów nie polegała na ich opracowaniu literackim – zweryfikowano jedynie fakty historyczne zawarte w książce i objaśniono znaczenie niektórych słów oraz przybliżono wydarzenia, które mogą być niejasne dla współczesnego Czytelnika. Pozostawiono teksty w ich autentycznej formie, ograniczając redaktorską ingerencję do uwspółcześnienia interpunkcji, poprawy ortografii i gramatyki oraz wyjaśnienia niezrozumiałych miejsc. Każdy tom zawiera krótkie biografie autorów oraz indeks osób.

Wprowadzenie

Od przegranej orężnej bardziej przeraża upadek ducha u ludzi. Wątpiący staje się mimo woli sojusznikiem wroga.

biskup Michał Kozal

Książka powstała przy wykorzystaniu hasłowych zapisków kodowanych przeze mnie w kalendarzu z okresu stanu wojennego, obejmujących przede wszystkim lata 1981-1982. Sięgających roku 1989, choć bardzo fragmentarycznych. Dziś odczytanych. Prosty, wydawać by się mogło, dla Służby Bezpieczeństwa i raczej mało komunikatywnych. Jednak, na szczęście, nigdy przez nią nieweryfikowanych, a dla mnie całkowicie zrozumiałych. Na przykład pod hasłem „Stefan” zapisywałem obecność w redakcji „Tygodnika Solidarność” na ulicy Batorego. „Wyjazd do Ostrołęki” to spotkania z Markiem Bemem, który był szefem kolportażu w „Tygodniku Wojennym”, jak i w „Samorządnej Rzeczypospolitej”. A wspomniana miejscowość to słynna bitwa z 1831 roku, w której Józef Bem odegrał niebagatelną rolę podczas powstania listopadowego. Kolejna postać to Antonio Salieri. Nauczyciel kompozycji Franca Szuberta. Pod tym pseudonimem umieszczałem spotkania z Piotrem Szubertem, pierwszym szefem kolportażu „Tygodnika Wojennego”. A nasze rozmowy z jego żoną Anią, zwaną Anicą, notowaliśmy jako „jego żona”. Podczas spotkań z Henrykiem Wujcem używałem terminu „Wyjazd do Zamościa”. Henryk w czasie wojny był „dzieckiem Zamojszczyzny”.

Czasem też do kodowania używałem dat historycznych. „1410” to Grunwald – a więc plac Grunwaldzki? Nie. Pewnie Krzyżak? Nie. To może Malbork? Nie – prawidłowa odpowiedź to jezuita, ksiądz Miecznikowski – od dwóch nagich mieczy. Taki to był mój kod skojarzeniowy. Dziś owe skojarzenia, wynikające z potrzeby zapisania nie tylko spotkań, ale też ważnych wydarzeń, posłużyły mi do prawie wiernego

odtworzenia tamtego czasu. Pierwszego roku stanu wojennego. Oczywiście, żeby esbekom nie było łatwo w razie rewizji, kodowałem też i w inny sposób. Używałem wspomnianych już dat historycznych, jak również skojarzeń związanych z wydarzeniami rodzinnymi czy też z moim miejscem zamieszkania lub urodzenia. Wiesław Szajko, szef szczecińskiej filii „Tygodnika Wojennego” i „Samorządnej Rzeczpospolitej”, występował pod pseudonimem „Obok”. Dlaczego? Otóż w tej samej dzielnicy Szczecina co on mieszkał brat mojej matki. Ewa i Wojtek Brojerowie zakodowani byli jako „Wyjazd Żelazowa Wola”. Mieszkali bowiem obok ówczesnej Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina. Itp., itd. Tak więc te kodowane notatki dotyczące dawnych lat pozwoliły mi odkryć to, co zakryła pamięć. Czy to z powodu traumatycznych przeżyć, czy nieistotności wydarzenia.

Wspomnienia, niestety, w niewielkim tylko stopniu oddają emocje tamtego czasu. A wtedy, szczególnie w pierwszych dniach stanu wojennego, żyliśmy emocjami. Ale do tego potrzebny jest kolejny tom, i to w postaci literatury pięknej. Być może kiedyś się z tym zmierzę.

Grudzień 1970

Rytmiczny stukot kół nocnego pociągu namawia do snu. Nie daję się, mimo że jest druga w nocy. Myślami wracam do 1970 roku. Przeglądam, segreguję notatki rozlewające się na kartkach nierównym tekstem. Słowa wędrują, gdzieś z wykrzyknikiem, gdzieś ze znakiem zapytania. Odsłuchuję tragiczne opowieści zapisane na mikrokasetach.

Mamy 1981 rok. Wracam z kilkudniowego pobytu w Gdańsku i Szczecinie, po rozmowach z ofiarami komunistycznej zbrodni Grudnia '70. Wśród nich z Teresą Olesińską (obecnie: Olesińską-Dowłasz) i Adamem Gotnerem. Przypomina mi się podróż z Warszawy do Gdańska, też nocnym pociągiem, z czternastego na piętnasty grudnia 1970 roku. Wybraliśmy się wtedy z dwoma kolegami z Amatorskiego Klubu Filmowego. Jechaliśmy – nie wiem po co. Protestować? Pomóc? Filmować? Fotografować?

O demonstracjach w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie w 1970 roku dowiedziałem się z popołudniowych wiadomości Radia Wolna Europa. Miałem dziewiętnaście lat i chyba bardziej gnała mnie tam ciekawość „wydarzenia” niż chęć solidaryzowania się z robotnikami. Może raczej potrzeba zarejestrowania tych tragicznych demonstracji na ośmiomilimetrowej kliszy amatorskiej kamery czy aparatu fotograficznego. Chodziło bardziej o ich udokumentowanie niż o formę protestu przeciwko komunistom.

Mieszkalem wówczas w Warszawie. Skrzyknąłem kolegów i pociągiem odjeżdżającym po północy pojechaliśmy do Gdańska. Ziąb wdzierał się pomiędzy cienkie ortalionowe kurtki i niezbyt ciepłe kożusze. Wagon był nieogrzewany. Nikt z nas nie mógł zasnąć. Tupaliśmy, skakaliśmy po przedziale, ogrzewając się kolejnymi papierosami, które ćmiliśmy w ciemności, bo wagon nie miał też oświetlenia. Czasem rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w Gdańsku. Ściszonymi głosami,

mimo iż nikogo oprócz nas nie było w przedziale. Ciągłe powtarzaliśmy tych kilka słów – zabici, ranni. Nikomu nie przyszło myśleć – może nie tyle myśleć, co mówić – o zabitych. Głównie rozmawialiśmy o rannych. Każdy z naszych ojców brał udział w II wojnie światowej czy powstaniu warszawskim. Opowiadali oni o wydarzeniach z walk, raczej tych mniej niż bardziej tragicznych. O zabitych... nie. Dlaczego? Ojciec mi kiedyś odpowiedział, gdy miałem szesnaście lat: – Bo tak szybko znikali, że nawet nie można było usłyszeć zakończenia ich wczorajszej opowieści.

Zapytany o rannych, mówił chętnie. Że mieli rany postrzałowe głowy, uda, ręki itd., itp. Jedni wyżyli – drugich już nie spotkał po wojnie. Czy przeżyli? Nie wiedział. Kiedyś spotkał kolegę bez nóg, którego powstańca czy lekarz zakwalifikował do mogiły. Po amputacji kolega przez kilka dni był nieprzytomny, ale wyżył. Ojciec dowiedział się od niego, że ich wyleczona piętnastoletnia łączniczka, wracając ze szpitala polowego do oddziału, została rozstrzelana przez Niemców kilkaset metrów od powstańczej barykady. Ojciec sam był ranny. – Jak? – dopytywałem. Odpowiedział obojętnie: – Normalnie. Nie zauważyłem kuli; była szybsza od mojego wzroku.

Jeden z moich rozmówców, ciężko ranny w grudniu 1970 roku nieopodal bramy Stoczni Szczecińskiej, powiedział: – Usłyszałem kłaśnięcie, upadłem. Myślałem, że się pośliznąłem.

W grudniu 1970 roku nie zastanawialiśmy się, jak dotrzemy do miejsca wydarzeń. Według informacji RWE ludzie byli na ulicach. Więc ich zapytamy, myśleliśmy naiwnie, i jakoś dotrzemy do strajkujących w stoczni. Wiedzieliśmy o kilku ofiarach. – Gdyby coś... – któryś z nas bardziej stwierdził, niż zapytał. Owo „coś” było czytelne dla każdego z nas. Mieliśmy powiadomić swoich bliskich. Ale czy nie zabrakłoby nam odwagi?

Konduktor kilka razy sprawdzał nasze bilety. Z zaciekawieniem spoglądał na nas patrol milicji kolejowej, czyli Służby Ochrony Kolei (tzw. SOK), który wsiadł w Malborku. Nad ranem dotarliśmy do Elbląga. Ciemnicę początku dnia rozświetlały peronowe lampy i mroźny śnieg. Konduktorzy zapowiedzieli, że pociąg dalej nie pojedzie. Wyszliśmy na peron z kilkuset podróżnymi. Tu spotkał nas obraz niczym

z komunistycznych filmów opisujących czas II wojny światowej. Patrole milicyjne z psami. Wojsko i milicja SOK. Kazano nam „kierować się do dworca”. W budynku postawionym w pierwszej połowie XIX wieku był już tłum. Robotnicy jechali na poranną zmianę do elbląskich bądź pozaelbląskich fabryk. Stanęliśmy w kolejce do informacji kolejowej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o najbliższym pociągu do Gdańska. Po kilku minutach, przepychając się między podróżnymi, podszedł do nas patrol milicji z żądaniem okazania dowodów osobistych. Jeden z milicjantów zapytał, co tu robimy. Niewiele myśląc, odpowiedziałem, że przyjechalśmy do mojej ciotki mieszkającej w Elblągu, a teraz chcemy wiedzieć, o której odjeżdża nocny pociąg do Warszawy. Koledzy w mig zrozumieli mój fortel i kiedy zatrzymano nas na kolejowym komisariacie, odpowiadali to samo. Po jakiejś godzinie milicja sprawdziła, czy moja rodzina rzeczywiście jest zameldowana pod wspomnianym adresem, i po spisaniu nas nakazała wsiąść do pociągu jadącego do Warszawy. Też zimnego, stał bowiem na bocznym torze. Na szczęście milicjanci łatwo łknęli naszą opowieść. Nawet nie sprawdzili nam biletów, a te były do Gdańska. Nie przeszukano też naszych toreb, w których mieliśmy dwa aparaty i kamerę. Nielatwo byłoby to wytłumaczyć, mimo iż mieliśmy legitymacje AKF – wówczas na wszystkim trzeba było mieć jakieś zezwolenia bądź legitymacje.

Pociąg odjechał po blisko dwóch godzinach oczekiwania na elbląskim peronie. Tym razem był ogrzany. Dojechalśmy do Warszawy dopiero wieczorem, bez biletów – ale kierownik pociągu pewnie o tym wiedział, bo zdaje się, że wagon, w którym siedzieliśmy, był pełen takich „zesłańców”. W przyćmionym świetle przedziału rozmawialiśmy o czymś, o czym nie mieliśmy pojęcia. Do dziś czasem zadaję sobie pytanie – a gdyby pociąg dotarł do Gdańska?

Dopiero jedenaście lat po wydarzeniach 1970 roku dotarłem do Gdańska i Szczecina, żeby spotkać się z... ofiarami zbrodni komunistów. Żeby pisać o strajku, manifestacji, walkach w mieście, rannych. Jak było naprawdę, dowiedziałem się z jednostkowych relacji uczestników buntu w stoczni przy drugiej bramie, gdzie dziś stoi pomnik poświęcony pomordowanym robotnikom. Także z opowieści w Szczecinie.

Po latach stoczniovcy mówili we fragmencie mojego reportażu:

Czołgi stały przy Zarządzie Portu. Na ulicy Długiej, jeden za drugim. Największe zgrupowanie było na Kamiennym Potoku. Żołnierze stali w bramach kamienic. Mieli broń automatyczną. Około ósmej wojsko ustawiło bardzo silne głośniki wojskowe skierowane ku stoczni. Przez nie namawiano pracowników, żeby opuścili teren stoczni. Zapewniali też, że odwiezą ich do domów. Kilku wyszło. Zostali pobici. Do dziś nie wiadomo: przez wojsko czy milicję?

– Wyszedł Zieliński, bodaj jako pierwszy, i został tak pobity, że później leczył się przez kilkanaście miesięcy. Ma w czaszce wstawkę z platyny – opowiada Henryk Jagielski. – My też podłączyliśmy swoje kolumny głośnikowe i wygłaszaliśmy do wojska komunikaty wzywające ich do przyłączenia się do nas.

W tym czasie przed dyrekcją odbywała się „masówka”. Uczestniczyło w niej około pięciu tysięcy ludzi. W tym delegacje ze Stoczni Remontowej i gdyńskiej stoczni. Przychodziły z poparciem delegacje wielu zakładów pracy Trójmiasta. Komitet podjął decyzję, że strajk będzie trwał aż do skutku. Wówczas grupa ludzi wyszła za bramę, aby porozmawiać z wojskiem. Ale żołnierze milczeli. Pojawiła się więc plotka, że to chyba nie Polacy. Sowietci albo Niemcy. Ktoś mówił, że wiceminister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic wizytuje te kordony i dodaje mundurowym otuchy.

– Przed bramą było mnóstwo milicji, wojska. Ulica Doki prowadząca do stoczni była kompletnie zastawiona. Jedni stali w szeregach, inni byli w przykłęku z bronią opartą o kolana – wspomina Alfons Suszek. – Kiedy wyszliśmy do nich, jedna z pań podeszła z kwiatami do pierwszego rzędu wojskowych. Myśmy właściwie podchodzili do nich wydziałami. Tam, gdzie dzisiaj stoi pomnik, szło kilka kobiet, też chyba z kwiatami, i krzyczały:

„Żołnierze, tu pracują wasi ojcowie. Nie strzelajcie do robotników!”.

– Tłum z dalszych szeregów napierał. Jak to w tłumie: mimowolnie. Stałem w drugim rzędzie, a z jego krańców wychodzili ludzie i starali się nawiązywać kontakt z żołnierzami – mówi dalej Suszek. – Żołnierze stali jak zamarli. Nasz drugi rząd napierał na pierwszy. I wtedy padł rozkaz strzelania. Słyszałem bardzo wyraźnie: „Załaduj broń! Pal!”. Salwa poszła. Usłyszałem coś jakby kłaśnięcie. Kolega Józek Tabin stał na wprost żołnierzy. Kazio Sendeki również. Nagle widzę: leży koło mnie. Został postrzelony. Wybuchła panika. Ludzie uciekali na oślep. Zostałem przewrócony, uderzyłem o krawężnik, ale się szybko poderwałem. Znów upadłem. Myślałem w pierwszym momencie,

że jestem ranny. Ale nie. Obok mnie leżało kilkanaście osób. Znow się pode-
rwałem i pobiegłem w kierunku dyrekcji.

– Przechodząc koło szpitala, to było jakieś kilkadziesiąt metrów od bramy, usłyszałem strzały. Może z helikoptera. Widziałem dziwne zdarzenie: część ludzi postrzelona w nogi kuśtykała do szpitala stocznego. To byli ci, którzy w ogóle nie wychodzili za bramę – mówi Czesław Borecki. – Tuż po strzelaninie z naszego szpitala wybiegli lekarze i pielęgniarki. Dobiegali do rannych. Kilku było przytomnych. Inni nie. Zabitych przed bramą wnoszono na teren stoczni. Byłem kilkadziesiąt metrów od bramy, kiedy ponownie padły strzały. Ale od nich nikt już nie został zabity. Mówiono później, że byli ranni. Ostrzelany został nasz szpital. Jeden z lekarzy w kieszeni fartucha znalazł trzy kule. Cudem uniknął ran. Utkwiły też w murze i futrynie.

– Pamiętam, jak Czesiek Borecki przybiegł do tłumy stojącego pod dyrekcją i zszokowany wykrzykiwał: „Co tu za negocjacje, kiedy do ludzi strzelają!” – wspomina Mieczysław Szymanek. – „Wy tu gadacie, a tam nam ludzi zabijają! Chodźcie tam!” Ja słyszałem strzały, ale to tak jakby ktoś grochem o ścianę rzucał. [...] Nie wiedziałem, co robić, bałem się, że nas tu jak kaczkę mogą wystrzelać. Czesiek ponownie podbiegł pod bramę. Również część ludzi, kilkadziesiąt, może kilkaset osób? Trudno było policzyć. Ze szpitala ktoś wziął dwa prześcieradła i namalował krwią zabitych czerwony krzyż. To było wstrząsające. Na początku myśleliśmy, że kilkadziesiąt osób zostało zabitych, bo wielu nie wstawało z ziemi. Jedni, bo byli ranni. Inni ze strachu. Chyba już od naszych lekarzy dowiedzieliśmy się, że zabito Jurka Matelskiego i Stefka Mosiewicza.

– Ktoś zawiesił kir na flagach. Nie wiem nawet, skąd się wziął czarny materiał. Nie pamiętam też, czy zaśpiewaliśmy hymn, czy „Boże, coś Polskę”, kiedy w chwilę później ktoś zawołał, żeby uczcić zabitych chwilą ciszy. Później przemawiała jakaś starsza pani, więźniarka obozu koncentracyjnego. Wykrzykiwała coś, powołując się na swoją oświęcimską przeszłość:

„Żołnierze, coście zrobili? Czy zdajecie sobie z tego sprawę? Niejeden z waszych braci tu jest. Z waszych ojców. A jak skończycie służbę wojskową, może będzie któryś z was chciał przyjść do stoczni. I co wtedy? Co ludziom powie? Jak tym ludziom spojrzycie w oczy?”

– Ciarki przechodziły – kontynuuje Jagielski – kiedy mówiła przez radio-węzeł w stoczni. Na maszcie stoczni powiesiliśmy hełmy zabitych i rannych. Jeszcze czujki wysłaliśmy pod bramę i płot, żeby zobaczyli, jak dalej wojsko się

zachowuje. Czujki nie wychodziły za bramę, ale miały obserwować żołnierzy. Tymczasem część rannych zawieźli na Łukową do szpitala. Część była w naszym szpitalu stoczniowym. Ci zabici też przez jakiś czas leżeli w naszym szpitalu. [...]

Po strzelaninie SB przerzucało na teren stoczni swoich agentów. Jednak ci niemal co chwila byli wylapywani przez straż strajkową. O 15.30 komitet podjął decyzję o strajku okupacyjnym. Jednak w wyniku rozmów jego przedstawicieli z dyrektorem Żaczkim i prowadzonej agitacji zarówno przez wojsko, jak i tajnych agentów przebywających na terenie stoczni strajk zaczął wygasnąć i ludzie grupami lub pojedynczo opuszczali stocznnię w nocy. Około północy praktycznie strajk się zakończył¹.

Teresa Olesińska ze Szczecina, przykuta od 1970 roku do wózka inwalidzkiego, po jedenastu latach bez większych emocji opowiadała o swoim spotkaniu z komunistycznym terrorem. Wówczas dwudziestoletnia pracownica spółdzielni krawieckiej, dzień przed tragicznymi wydarzeniami, które ją dotknęły, widziała manifestacje na ulicach miasta. Strzelaninę. Pałące się samochody milicyjne i siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Miała dosyć. Nie chciała przechodzić w pobliżu stoczni. Osiemnastego grudnia wracała z pracy, blisko półtora kilometra od gmachu KW PZPR. Po przebyciu kilkuset metrów została zraniona kilkoma pociskami. Przechodnie byli przekonani, że kona. Jedni mówili, żeby ją zabrać do bramy, inni – do pasmanterii, aby nie umierała na ulicy. Jakiś młody człowiek zatrzymał taksówkę i dowiózł ranną na pogotowie ratunkowe. Stamtąd karetką przewieziono ją do szpitala na Unii Lubelskiej. Była jeszcze przytomna przed operacją. Miała przestrzeloną klatkę piersiową, płuca, żołądek, trzustkę, wątrobę, śledzionę. Lekarze dawali jej najwyżej kilka dni życia. Przytomność odzyskała, ku ich zdziwieniu, po trzech dniach. Byli w szoku. Niektórzy powiadali, że nie miała prawa żyć. Przez kolejne miesiące nadal nie dawano jej szans na przetrwanie. W szpitalu spędziła blisko rok. Przez kilka następnych

¹ M. Wyrwich, *Ciągle nas oszukujecie*, [w:] idem, *Ogłoszono mnie szaleńcem. Reportaże historyczne*, Warszawa 2012, s. 144-146.

Spis treści

5	Pokolenie „Solidarności”
7	Od redakcji
9	Wprowadzenie
11	Grudzień 1970
21	Grudzień 1981
75	Kolejny rok stanu wojennego – 1982
147	Rok 1983, 1984 i lata następne
183	Indeks nazwisk
189	Indeks geograficzny



Mirosław Mateusz Wyrwich – politolog, dziennikarz, pisarz, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1980 r. był członkiem „Solidarności”, a w 1981 r. został dziennikarzem działu informacyjno-związkowego „Tygodnika Solidarność”, gdzie pełnił też funkcję wiceprzewodniczącego KZ „S”. W latach

osiemdziesiątych działał jako aktywny publicysta podziemnych wydawnictw, dziennikarz i redaktor „Tygodnika Wojennego” oraz koordynator filii tego tygodnika w kraju. Był współzałożycielem, redaktorem i dziennikarzem, a także koordynatorem filii dwutygodnika „Samorządna Rzeczpospolita” (w latach 1985–1989). Od 1990 r. pracował jako publicysta, dziennikarz i autor telewizyjnych reportaży społeczno-historycznych w TV Puls oraz TVP 1. Pisze słuchowiska dla Teatru Polskiego Radia oraz książki o najnowszej historii Polski. Jako komentator polityczny jest związany m.in. z Polskim Radiem 24, TVP Info, TV Republika. Został odznaczony medalem Zasłużony Działacz Kultury (1999), Srebrnym Krzyżem Zasługi (2007), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011, odmówił przyjęcia), a w 2018 r. – uhonorowany Krzyżem Wolności i Solidarności. Jest członkiem Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

ISBN 978-83-8138-683-8



<https://akademicka.pl>